

OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 5

CHOJNICE

Nr. 29

Ręka Boża.

(Prawdziwe zdarzenie).

Było to w r. 1812, Francuzi pod Napoleonem I. gospodarowali na dobre w Hiszpanji. Młody kapitan K. wtargnął ze swoją kompanją do klasztoru Kapucynów i rozlokował się w nim swobodnie. Pomiędzy zakonnikami i żołnierzami wkrótce zapanała pewna zażyłość. Była to właśnie wigilja Bożego Narodzenia; poczciwi zakonnicy nie zazdrościli żołnierzom dobrze zasłużonego spoczynku, a idąc do kościoła, postarali się o to, aby żołnierze mieli czem ugasić pragnienie. Wino hiszpańskie wkrótce wywarło swój skutek na zimnych mieszkańcach północy. Wtargnięto do piwnicy i spuszczano wino, a wojownicy napili się do syta i ponapełniali nadto swoje naczynia. Jest w człowieku pewien rys właściwy; śmierci się obawia i właśnie dla tego igra z umarłym. W krajach południowych jest zwyczaj balsamowania ciał umarłych i chowania ich w wielkich kryptach, aby wyschły na mumie. Podobnie działo się i w owym hiszpańskim klasztorze. Żołnierze przyszli do krypty mnichów. Cichym snem śmierci spali umarli w zakonnych habitach, oczekując dnia zmartwychwstania. W pierwszej chwili zatrzymali się żołnierze zdumieni przed majestatem śmierci — wkrótce jednak buta wzięła górę. Jeden przed drugim wstydział się przyznać do poważnych uczuć, które to miejsce w nim obudziło. Na miejscu świętem — było to właśnie o północy — rozpoczęto chórem śpiewać mszę św. pasterską. Wtem nadszedł młody kapitan pełen buty i odurzony winem zawołał chrapliwym głosem: obudźmy jednego z umarłych i wskazał równocześnie na najbliższego trupa zakonnika. Żołnierze posłuszni wezwaniu oparli umarłego o słup, wetknęli mu do zeschniętych ust cygaro a na ramionach zawiesili trąbkę; „teraz zatrab na sąd“ zawołał kapitan. Nagle wszczął się hałas. Żywi zakonnicy przerażeni i oburzeni przybiegli z chóru, wezwani przez braci, lecz wkrótce musieli się cofnąć pod razami mieczów żołnierzy. Kapitan wylał jeszcze puhar wina na głowę trupa „na chrzest umarłych“ jak mówił. Wkrótce nastąpiła cisza. Ze łzami w oczach złożyli mnisi zbeszczeszczonego umarłego brata do grobu na miejsce dawnego spoczynku.

Działo się to wszystko w ową wigilję Bożego Narodzenia 1812 r. — W pośród gór na dolinie stoi samotna kaplica. Naokoło głęboka panuje cisza, przerywana tylko na wiosnę brzęczeniem pszczoł i lotem motyli. Miejsce to nosi nazwę: „Zaczarowane ognisko“. Znowu nadeszła zima a z nią święta Bożego Narodzenia; wiele czasu upłynęło od owej pamiętnej nocy 1812 r. Młody wówczas kapitan już nie żyje; przed trzema miesiącami po-

chowano go w tej krypcie jako generała K. Czy umierając pojednał się z Panem Bogiem — tego nie wiemy. Zbrodnie takie stawiają łasce często gwałtowną zaporę. Było to również w noc Bożego Narodzenia; cisza ogólna panuje dokoła. Wtem zbliża się sąd Boży na umarłego.

Podczas gdy na równinach rozlegał się głos dzwonów kościelnych i jasne światła błyszcząły nawet w najuboższej chatce, a wierni zewsząd spieszyli do kościoła, przesuwały się zaroślami tajemnicze postacie, dążąc ku kaplicy. Mała latarnia i witrych ułatwiły wykonanie zbrodniczego dzieła.

Po kilku dniach znaleziono o sto kroków od kaplicy wyrzucone z trumny i oparte o drzewo ciało generała, zdarto z palca złoty pierścień i guziki z mundurem. Widać było nadto, iż złoczyńcy na urągawisko naznaczyli razami czaszkę generała. Było to prawie 50 lat później w czasie świąt Bożego Narodzenia. Ręka Boża strzeże umarłych i ich spokoju a biada temu, kto go zakłóca lub ich bezceści!

Lud w całej okolicy wiedział o zbrodni generała z czasów wojny w Hiszpanji i w zbeczczeniu jego trupa widział sąd i rękę Bożą.

Papież i krawiec.

Działo się to za Napoleona I. Jak wiadomo, przyłączył on państwo kościelne do korony francuskiej. Papież Pius VI nie mógł znieść tego w swoim położeniu jako głowa chrześcijaństwa, a nie mając innej siły fizycznej, użył władzy kościelnej i rzucił klątwę na Napoleona, jego polepczników i tych wszystkich, którzyby się jego klątwie sprzeciwiali.

Klątwa niewiele pomóc mogła, a tem mniej wobec takiego przeciwnika jakim był Napoleon, pierwszy bohater wieku, zwycięzca całego świata, otoczony licznem i zwyciężkiem wojskiem. To też nie rozmyślając nad tem długo Napoleon zabrał Papieża z Rzymu i przewiózłszy przez Alpy, osadził go najprzód w Sawonie, gdzie Pius VI mieszkał trzy lata. Wprawdzie przygotował on tam dla niego dwór prawdziwie królewski i przeznaczył dwa miliony franków rocznego dochodu, lecz Papież oparł się stanowczo i nie chciał przyjmować żadnego daru od wyklętego cesarza, żył zatem w zupełnem odosobnieniu odmawiając przyjęcia wszelkiej pomocy; nieraz brakowało mu dlatego najpotrzebniejszych rzeczy.

W tem zbliżała się Wielkanoc r. 1810. Pobożny Papież chciałby być chętnie z całą uroczystością to wielkie święto chrześcijańskie Zmartwychwstania obchodzić i ludność cała okoliczna domagała się tego najjuszniej. Lecz Ojcu św. brakowało stosownej szaty świątecznej, by w niej mógł

wystąpić, bo dawniejszy strój papieski w takim razie używany, podarł się przez ten czas i nie można go było wdziać na taką uroczystość. W tej ostateczności zawołał Papież jakiegoś krawca do siebie i umawiał się z nim, jakby temu zaradzić. Krawiec wysłuchał z uszanowaniem Ojca św. mówiącego o podartych swych szatach bez narzekania, z prawdziwie chrześcijańską pokorą i przyrzekł, że uczyni co tylko będzie w jego mocy.

Gdy krawiec rozczulony powrócił do domu, zaczął narzekać przed przyjaciółmi na smutne i tak przykre położenie starca, który był przeciw głową Kościoła. I wszystkim pokazywał podarte szaty Ojca św. Gdy się ta wieść z ust do ust rozeszła po całym mieście, zaczęła się prawdziwa wędrówka do domku krawca, jakby do jakiego miejsca świętego. Wszyscy chcieli widzieć suknię Papieża i wszyscy chcieli z sobą unieść choć po kawałku tej sukni, którą uważali jak suknię męczenika Pańskiego.

Wkrótce cała suknia została pokrajana na drobne kawałeczki i ani szmatki z niej nie pozostało. Natomiast stół biednego krawca napelniony był złotem i srebrem znoszonym zewsząd. Krawiec co prędzej sporządził nową suknię i uradowany pobiegł do Papieża, by mu ją zanieść wraz z sporym workiem pieniędzy.

— Co to jest mój synu? zapytał zdziwiony.

— To wam, Ojczy święty, przysłała miłość wiernych, wraz z serdecznym współczuciem, odpowiedział krawiec i zaczął opowiadać, jak to wszystko poszło.

Papież przyjął darowaną suknię z wdzięcznym rozczuleniem, ale worek z pieniędzmi oddał z powrotem, mówiąc z twarzą od radości opromienioną:

— Mój synu! Odwieczny czuwa nad wiernymi swoimi i pobożności jednych używa, by umniejszyć cierpienia drugim; wszystkim dobrym dając przeto moje błogosławieństwo ojcowskie. Tę suknię zachowam, ona mnie zapewne przeżyje, ale pierwszym jest moim obowiązkiem, a zarazem potrzebą wspomagać biednych. Jam niewolnik, tyś wolny!... Opatrzność wskazuje rękę, której mam je powierzyć, by w jej imieniu potrzebnych wspomagała. Bierz te pieniądze i rozdaj między ubogich.

Tak rzekł Papież i tak się stało. Od tego czasu ucziwy krawiec dostawał z własnych rąk Piusa VI niejedną datkę pieniężną i rozdał go sumiennie pomiędzy biednych. Tym sposobem przymusowy pobyt Papieża w Sawonie stał się źródłem miłosierdzia i błogosławieństwa Bożego.

Legenda o kłosie zbożowym.

W onych dawnych czasach, kiedy to Pan Jezus po świecie chodził, rodziło zboże tak bujnie że kłosa od ziemi samej aż po wierzchołek ziarnem były okryte.

Ludziom, co rolę posiadali, życie płynęło wtedy w dostatku. Zhardzieli też od tego bogactwa, i wszelka litość ku bliźnim w sercach ich wymarła. Sami używali od rana do nocy, smaczne kołaczki i placki bieluchne jedynie spożywając. Chlebem prostym, szarym żytnim chlebem gardzili. lecz się nim nie chcieli z biedniejszymi dzielić. Nieraz całe bochny tego chleba szły do chlewów, trzodom na posiłek, a i na śmietniku znalazła się kromka niejedna. Biedacy zaś odchodzili głodni ode drzwi bogaczy onych. Czasem tylko

trochę mąki, przed progiem, rozsypanej, lub trochę okruszyn z pod proga wolno było zgarnąć.

Patrzył na to Jezus, a oblicze blade mu od smutku, a serce wzbierało żalem.

Wreszcie wyczerpała się pobłażliwość Zbawiciela. Postanowił ukarać złość ludzką. Więc białą swą ręką skinął nad łanami szumiącymi dojrzałem zbożem, a wnet kłosa jęły się kurczyć i malleć, i puste, suche źdźbła słomy z pod nich wyjrzało.

Strach padł na nieużytych bogaczy. Widzieli jak dobytek ich marnieje, czuli, że uratować go nie mają mocy. Ziarno zbożowe z szelestem sypało się na ziemię, źdźbła suchej słomy wydłużały się i rosły. Jeszcze chwil kilka, a z bujnego, dobroczynnego plonu nic nie zostanie.

Ale i Matka Boża patrzyła na tę srogą karę z ręką najmilszego Syna na złych ludzi idącą, i serce jej przesłodka, serce przemiloserne zapragnęło dla nich przebaczenia.

Pochyliła swe czoło do stóp Jezusa i błagać poczęła:

— Daruj choć resztę winy. Pozostaw choć odrobine pożywienia tym nieszczęśliwcom. Zgrzeszyli — to prawda, lecz nie karz zbyt surowo. Litość okaż trochę.

Rozjaśniły się smutne oczy Zbawiciela. Głowę Matki, tę najdroższą głowę — co się tyle razy nad nim w dniach dzieciństwa z miłością pochylała, do piersi przygarnął i rzecze:

— Uratujże dla ludzi to, co obejmą twe dłonie.

Rzuciła się Przenajświętsza Panienska ku łanowi zbożowemu, drobne ręce rozwiera jak najszerszej; pragnęłaby w nie jak najobfitszą garść ziarna ująć, pragnęłaby jak najwięcej strawy ludziom ocalić.

Lecz wola Syna jest nieodmienna niezłomna.

Uratowała więc Marja to tylko, co chwyciły jej dłonie.

I dlatego, od dni onych, puste źdźbła słomy wznoszą się wysoko nad zbożowym łanem, a ziarna na nich niewiele — tyle tylko, ile Matka Boża zdołała ukryć w swe szczupłe ręce.

Różaniec chrześcijański Japonki

W dzień Wniebowzięcia 1849 r. św. Franciszek wylądował w swojej pierwszej podróży do Japonii w Kagoschima, stolicy Satsumy. Było to wtedy osobne królestwo na Kimchin — wyspie, leżącej najbardziej na południu Japonii. Ze zwykłą sobie żarliwością rozpoczął Apostół natychmiast dzieło nawracania, z pomocą Japończyka Pawła, którego ochrzcił w Indjach. Nie wiele czasu upłynęło a w Kagoschima utworzyła się mała gmina chrześcijańska, składająca się ze stu nowonawróconych, ku wielkiej radości Świętego. Między innymi nauczał św. Ksawery także córkę właściciela domu, w którym mieszkał i na Chrzcie św. dał jej imię Marja. Była to później jedna z głęboko wierzących chrześcijanek, które do dziś dnia podziw wzbudzają.

Po tak wielu obiecujących początkach w Kagoschimie nastąpiło potem ciężkie prześladowanie chrześcijan, wzniecone przez bonzów. Św. Ksawery musiał opuścić swoją małą trzódkę. Rzadko kiedy tylko mógł ich jako misjonarz na krótko odwiedzić. — 1584 roku — 5 lat po odjeździe św. Ksawerego, przybył znowu do Kagoschimy misjonarz - chrześcijanin Japończyk, należący jako brat Domjan, do Stowarzyszenia Jezusowego. Z całej gminy pozostała tylko jedna

chrześcijanka — właśnie Marja, którą ochrzcił św. Ksawery. Ona zachowała wiarę i bohaterkie przywiązanie do wiary. Bez obawy nosiła na szyji na ulicach miasta różaniec, tak, że każdy mógł od razu poznać że jest chrześcijanką. „Czy nie obawiasz się, aby cię zabito, gdy chodzisz po mieście z różańcem na szyji?” — pytał brat Domjan. „Wszyscy tu wiedzą, że jestem chrześcijanką — odrzekła — oby Bóg dał, by mnie prędzej bonzowie zabili, abym się prędzej dostała do nieba, abym mogła oglądać Boga i spotkać się ze świętym Ksawerym. Wolałabym umrzeć jako męczennica, nie zwykłą śmiercią. Łzami zalała się przy tych słowach. Jednego się tylko obawiała: aby ją poganie nie pochowali z ich zabobonemi ceremonjami na pogańskim cmentarzu. Prosiła już kilka razy krewnych, aby nie mówiąc bonzom, pochowali ją, w razie śmierci, w lesie sosnowym, o pół godziny drogi od Kagoschimy, z tym różańcem na szyji.

To jej życzenie spełniło się w inny sposób. Dla jej stałości w wierze i życia cnotliwego, wytrwałości, jaką okazała przy różnych prześladowaniach, na cześć św. Franciszka, który ją ochrzcił — wiceprowincjał Gaspar Coolho sprowadził ją do Nagaski, gdzie się znajdował główny dom misyjny. Tam ona żyła jeszcze czas jakiś otoczona czcią i miłością misjonarzy i chrześcijan. Tam ona umarła i została z wielką czcią pochowana przez wiceprowincjała, z różańcem na szyji.

Podziwiamy to serdeczne przywiązanie i miłość do różańca swego nowo ochrzczonej poganki. Miłość tę ona odziedziczyła od samego Apostoła. Niema wątpliwości, że to on dał jej ten różaniec i nauczył ją modlić się na nim.

Wiemy, że św. Ksawery sam nigdy z różańcem się nie rozstawał. Gdy św. Ignacy posyłał go wraz z innymi towarzyszami do Włoch, nosił on różaniec na szyji, pomimo to, że droga prowadziła przez kraj innowierców, zjadłych wrogów katolicyzmu. W Indjach i Japonji rozpowszechnił św. Ksawery nabożeństwo różańcowe dla tego i Marja - Japonka tak go czciła i nosiła na sobie.

O lipce i lipcu.

(Ze świata legend.)

Ulubione przez Jana z Czarnolesia drzewo należy, jak wiadomo, do najpiękniejszych w polskiej ziemi. W starych lipach naszych kochają się ludzie na wsi i w mieście. Chłop otacza swą lipkę czcią i miłością nie mniejszą, aniżeli dziedzie we dworze, gdzie w rozległym parku całe aleje wiekowych lip dają cień chłodny w upalne lata, a wonią upajającą napełniają powietrze przez cały miesiąc lipiec, ulom w pasiekach dostarczając jednocześnie najprzedniejszego miodu.

Jakże tu drzewa tego nie lubić — skoro przecież w lipce najchętniej przemieszkuje Najświętsza Panna Marja.

Ot, posłuchajcie — dla czego...

Kiedy Jezusowa Matka uciekać musiała z Dzieciątkiem do Egiptu, zdarzyło się w drodze, że Herod już ich doganiał ze swą służbą okrutną. Wtedy Marja szybko w pole skoczyła i za jakimś krzakami przystanąwszy na chwilę, zaczęła się rozglądać, gdzieby to się można było ukryć bezpiecznie. Kilka drzew stało nieopodal. Spojrzała na nie biedna matka, tuląc synka do piersi, ale żadne z nich nie zaprosiło do siebie zagrożonych tułaczy; wszystkie szmerwały sobie z jedna-

ką obojętnością... Trzeba wszakże było spieszyć się, bo już zdala dochodziły głosy żołnierzy Heroda.

— Co my tu biedni poczniemy? — pomyślała nieszczęśliwa niewiasta przypatrując się dużej brzozie, która była tak białą, iż ukrywając się za nią, dałoby się zniknąć w swoich równie białych szatach dla oczu ścigających. — Moja brzoza — rzecze tedy do niej uprzejmie — przyjmij nas też na chwilę do siebie; schronimy się tu bezpiecznie i nie odnajdą nas zbójcy, którzy puścili się w pogoń za nami... Nie bój się, nic ci przecież nie zrobią, pojedą sami dalej, na momencik nas przytulili do siebie...

Ale brzoza nic nie powiedziała, tylko warokoczyki swoje na wiatr rozpuściła i tak się rozplakała, tak się rozszlochała głośno, żeby jej nie utulił aż do jutra; tymczasem ledwie na chwilę mogliby byli dopędzić tułaczy Herodowi żołdacy i zapewne zbliżyliby się dowiedzieć, co się tam stało, iż tak brzoza płacze...

Aż się mały Jezusek zadziwił i rączki wyciągając ku chwiejącej się na wietrze beksie, szczebiotał:

— Mamo, czemu ona płacze?

A Marja na to:

— Niech sobie tam płacze do końca świata!

My co żywo uciekniemy do jej sąsiadki...

I poskoczyła do osiki.

— Moja kochana osiczynko, przyjmij nas na chwileczkę do siebie, żebyśmy się mogli ukryć przed pościgiem... Potem zaraz sobie pójdziemy dalej. Przyjmiesz nas osiko? Bo twoja siostra brzoza bała się Heroda i płacze...

Ale osika ledwie to usłyszała, zaczęła drżeć ze strachu od stóp do głowy, szepcząc:

— Boję się, boję się Heroda!

— Ale nie bój się, osiczynko, weź nas do siebie, zobaczysz, że ci się nic nie stanie...

— Nie chcę, nie chcę — powtarzała osika — boję się, nie mogę... bo się strasznie boję!...

Wtedy o kilka kroków stojąca lipka stara ożwała się poważnie...

— Schowaj się, niewiasto, co prędzej, bo cię zobaczą Herodowi żołnierze!

Więc Marja, niewiele się namyślając — wsunęła się z Dzieciątkiem za szeroki pień gościnnej lipy i od razu zauważyła, iż nie sposób, by ich ścigający zbójcy mogli dojrzeć w tem schronieniu. A tuż.. tuż... głosy męskie było słyhać i zaraz ruch zrobił się w pobliżu.

Wszelako Marja nie widziała z poza lipy niko go i nikt jej nie mógł tam nawet dojrzeć, przytulonej z dzieckiem do lipowej kory...

Poskoczyli w tę stronę żołnierze, pokręcili się tu i owdzie i zabrali się... Wkrótce Marja usłyszała głosy coraz bardziej się oddalające.

— Poszli sobie... Więc dzięki poczciwej lipie, uniknęliśmy pościgu; największe niebezpieczeństwo już nas minęło... Bóg łaskaw zesłał nam w porę starą lipkę...

A tymczasem Jezusek rwał listki z gałązek gościnnego drzewa i splotał z nich wianuszek, bawiąc się spokojnie, jak gdyby nigdy nie groziło im nic złego... Marja zaś, oprzytomniawszy zupełnie z przerażenia, spoglądała z wdzięcznością na wspaniałą lipkę koronę zieloną.

Dziękujemy ci dobra starucho, żeś nas tak chętnie schroniła i ocaliła...

— Nie ma za co, mateczko, dobrze przynajmniej, iż to było jeszcze w porę... Idźcie sobie z Bogiem w drogę, a przedtem to sobie jeszcze na-

zbierajcie lipowego kwiecica; w niejednej chorobie będzie to skuteczne lekarstwo...

— Bóg zapłać! Weźmiemy sobie zaraz...

I lipowe liście teżby się wam przydały.

— Dziękujemy ci, dobra lipko nazbieramy sobie... I obcym ludziom chorym będziemy mogli służyć lekarstwem...

Ale strasznie była Marja znużoną podróżą i ucieczką spieszną zwłaszcza.. Więc w tej chwili iść już dalej mogła — i cała spocona i zziębnięta, usiadła w cieniu na murawie. A Jezusek mały bawiąc się ciągle — ot, jak dziecko, wziął jakąś szmatkę białą z matczynej zawiniątka i jak gdyby chciał pot otrzeć z czoła swej rodzicielki — przycisnął płótno do jej mokrej twarzy... A kiedy je odjął — matka ujrzała wyraźną podobiznę swoją na płótnie, potem podróżnej zroszonem...

— To mama! mama! — szeptało chłopię uradowane przypatrując się cudnemu portretowi, który za chwilę zawiesił Jezus na lipie, przystrojszy obrazek w zielony wianek i pęczek kwiatków, jakie znalazł w trawie.

Kiedy Marja wypoczęła, wzięła dziecko na ręce i opuściła z nim swoje pod lipą schronienie.

Przechodzili koło brzoźki białej, która bezustannie płakała — i koło osiki, która drżała, jak gdyby jeszcze Herod ze swem wojskiem stał w pobliżu groźny...

— Mamo — zapytał Jezusek — czemu ona się tak trzęsie ciągle? czego ona się boi?

— Niegrzeczna, niepoczciwa osika! — odparła mu matka. — Wiecznie tak będzie drżała ze strachu, za karę... że ciebie syneczku, nie chciała schronić u siebie!

I do dziś dnia listki osiczyny drżą i drżą ciągle choćby wiatru nie było, a brzozy płaczą, trzęsac rozpaczliwie swemi warkoczycami, jak gdyby co dzień zbliżała się burza pełna grozy — a nie-miłosierna.

Tylko lipka odwieczna chętnie da schronienie każdemu i ukoi tułacza zdrożonego w swym cieniu gościnnym.

A wieśniacy pobożni, przekonani, iż „w lipce najchętniej przemiszkuje Panna Marja“ — wieszają zawsze wizerunki Matki Jezusowej na starym pniu lipy i przez całe lato przystrajają obrazek, daszkiem osłonięty, to w kwiecica wiązanki proste z pól i z lasów, to znów w zielone wianuszki pokłosiem z chabrami przeplatane...

A dobra Matka Niebieskiego Pana co rok w lipcu, od jednego święta do drugiego, (od „Narodzenia“ do „Szkaplerznej“) — chodzi po świecie od lipki do lipki — oglądać, czy jej obrazeczki ładne i czy kwiatki świeże na nich zawieszono... Popatrzy, popatrzy — uśmiechnie się ślicznie ludziom dobrym na podziękowanie — i pójdzie dalej i dalej, ażeby obejść wszystkie... Co się do której zbliży, to się lipka tak rozpachnie, żeby człowiek pod nią nie ustał w tej chwili, bo odurzyło by go napewno...

Za to kołem lipkę otoczą roje pszczołek.

I brzęczą i brzęczą nad lipowym kwiecikiem, a co miodu zbiorą trochę, to go naprzód niosą do złotego ulika, który w rękach pod lipą trzyma Niebieska Królowa.. Potem dopiero resztę miodu ludziom pszczołki zanoszą do pasieki, a gospodarze powiadają, że nie ma lepszego miodu nad lipcowy.

Mało kto z nich wszakże wie o tem, iż co najprzedniejszy miód z lipki złożyły pszczoły do ula Najpoczciwszej Matki, która wróciwszy ze swej

pielgrzymki lipcowej po ziemi, rozdaje hojnie miód lipowy sierotkom; im zaś która więcej na świecie wycierpiała, tem więcej słodziutkiego miodu dostanie od Niebieskiej Opiekunki — dla o-słody gorzkiej i łzawej doli sierocej.

Opieka Marji.

W kwietniu 1906 r. wybuchł wulkan Wezuwjust. Nad miastem Neapolem, a jeszcze bardziej miasteczkiem Torre Anuntiate tuż przy wulkanie położonem zawisła okropna zagłada. Jakby zagniewany udręką setek lat, wyrzucił Wezuwjust z ogromnym grzmiotem z czeluści swej piasek, popiół i ogniste masy lawy, rozlewał ją dookoła, siejąc wszędzie śmierć i zniszczenie. Mieszkańcy okoliczni chronią się gdzie mogą, pozostawiając na pastwę ognistej lawy swój dobytek a może i szczęście rodzinne. I mieszkańcom miasteczka Torre Anuntiate stanęła śmierć w oczach: ognista lawa zbliżała się do nich z szybkością 25 metrów na minutę. I cóż uczynili?

Według zeznań pewnej siostry miłosierdzia, która była świadkiem tej sceny biedacy ci pobiegli do kościoła porwali cudowną figurę Matki Boskiej śnieżnej i z nią szli na spotkanie lawy. Pomimo, że żołnierstwo ich upominało, że nawet dowodzący nimi generał chciał ich gwałtem zatrzymać, krzycząc: „Nieszczęśliwi, zginiecie wszyscy wraz ze swoją Madonną! — lud szczególnie ubogi szedł dalej, płacząc i modląc się głośno. Ta ufność i wiara w pomoc Marji pędziła go naprzód.

Lawa zbliżała się już do cmentarza. Lud postawił statwę na ziemię, tak blisko już lawy, że ta dymem swym ją okryła. Lecz o dziwo! Naraz lawa stanęła jak wryta! poczem zaczęła się cofać w górę, i z wysokości 100 metrów płynąć do morza. Cud oczywisty! Lud, a wraz z nim i ów generał, pada na kolana i we łzach gorących dziękuje swej Madonnie za pomoc. Potem ją porywa i niesie w triumfie do kościoła. Było to 11 kwietnia 1906 r.

Wesoły kącik.

WEJŚCIE DO NIEBA ZAMKNIĘTE.

Na drzwiach kościoła anglikańskiego w Cheshire, znajduje się napis: „To jest dom Boży, brama niebios“. — Pod tem nalepiono zawiadomienie zarządu gminy kościelnej: „Brama jest w miesiącach zimowych zamknięta“.

RZECZY WESOŁE.

NIE UMIE CZYTAĆ.

O naszym wielkim Kasproviczu opowiadają następującą anekdotę: Gdy pewnego dnia przybywszy ze swojej „Harendy“ do Zakopanego, zaszedł na pocztę, zbliżył się do niego jakiś prostaczek góral i trzymając w ręku list dopiero co podjęty z poczty, poprosił pokornie o przeczytanie mu tegoż.

Poeta uczynny jak zawsze wziął list do rąk rozwinął, atoli kaligrafja listu była tak okropna, że trzeba było dobrą chwilę zastanowić się i skupić uwagę, by móc odcyfrować prawdziwe hieroglify, Góral czeka chwilę, potem zniecierpliwiony i zawiedziony wydziera list z rąk poety, mówiąc:

— A dyć mogliście panocku odrazu pedzić, że nie umiecie czytać, a nie zabierać czasu mnie i sobie.